



Esther Vilar „Siedem pożarów Mademoiselle”

Fragment

Zdarzyło się, że podczas ważnego przyjęcia ktoś podsunął mojej matce wycinek z prasy, a ona poprosiła Mademoiselle o przyniesienie jej okularów do czytania, pozostawionych w bibliotece – i to, co nastąpiło chwilę później, zadziało jak przysłowiowa słomka, która złamała grzbiet wielbłądowi. Trzej panowie naraz zerwali się z miejsc, żeby wyręczyć piękną guwernantkę, a wówczas umiłowanie równości społecznej w jednej chwili opuściło moich rodziców. Wymówkę znaleziono szybko. W porze obiadowej dziecko, na szczęście, przebywało jeszcze w szkole, natomiast sprawę kolacji rozwiązała matka jednym prostym zabiegiem, przesuując na wcześniejszą godzinę moją porę kładzenia się spać. Dziecko mizernie wygląda, dziecku potrzeba więcej snu. Odtąd Mademoiselle i ja jadałyśmy oddzielnie, godzinę przed wszystkimi, w jadalence przy kuchni. Tylko w weekendy, przed dniem wolnym od szkoły, dopuszczano nasz powrót do głównego stołu. Ale wtedy rodzice na ogół wychodzili gdzieś z wizytą.

Ponieważ o tym, że mam kłaść się wcześniej do łóżka, prędko zapomniano, nowa reguła była dziecku jak najbardziej na rękę. Przynajmniej nie musiałam więcej wysłuchiwać nudnych towarzyskich konwersacji i nikt nie zawracał mi głowy pytaniami w rodzaju: „No a co sądzi o nowej placówce nasza mała Carlota?”. Głowę miałam bowiem zwykle zajęta obmyślaniami epokowych wynalazków. A poza tym, strasznie byłam dumna, że mam teraz upragnioną przez wszystkich Mademoiselle na wyłączność. Nasze rozmowy były na ogół zabawne, o ile Mademoiselle nie upierała się prowadzić ich po francusku. W odróżnieniu od wszystkich innych dorosłych pozwalała mi mówić nawet o moich wynalazkach.

Szybko natomiast przekonałam się, niestety, że nie pogadam z Mademoiselle o dwóch sprawach, które w owym czasie najbardziej mnie pasjonowały: o seksie i o religii. Muszę zresztą powiedzieć, że po dziś dzień nie znalazłam ciekawszych tematów do rozmowy. Seks jest sztuką korzystania z zaprogramowanego w naturze instynktu płodzenia dzieci bez płodzenia dzieci. Religia jest sztuką unikania zaprogramowanej w naturze śmierci poprzez wiarę

w jakąś formę kontynuacji życia po życiu. Seks dotyczy zatem życia, a religia – śmierci. Czy jest coś bardziej dla człowieka interesującego, choćby tylko jako temat rozmowy?

Ale Mademoiselle była katoliczką, a to znaczy, że przyjemność seksu bez powoływania do życia nowych istot ludzkich nie była jej dozwolona, natomiast życie wieczne w raju miała zagwarantowane, i to na piśmie. Jak więc mogły ją interesować moje ulubione tematy? Miałam pecha jak zwykle.

Oczywiście, nie rozmawialiśmy też o naszej banicji do jadalenki. Jej powodu jednak nie potrzeba było tłumaczyć nawet mnie, dwunastolatce: Mademoiselle nigdy i nigdzie nie mogła być równą pośród równych – uroda odróżniała ją nie tylko od biednych, lecz także od bogatych. W jej przypadku wyszedł na jaw brak sprawiedliwości społecznej nie tylko ze strony moich

rodziców, lecz także samego Stwórcy, skoro uczyniona przezeń niezwykła istota była „wrogiem klasowym” dla wszystkich. Pokrzywdzonym przez los można ofiarować pieniądze – ale jak podzielić się z nimi urodą? Czy Mademoiselle miała się dobrowolnie oszpecić, aby upodobnić się do reszty pań przy stole moich rodziców?

Chociaż byłam w wieku, w którym człowiek bezlitośnie wytyka wady dorosłym, nawet nie przeszło mi przez myśl, że działania matki są zemstą na podwładnej, która przewyższa urodą panią domu. Bo moja matka, przynajmniej jeszcze wtedy, w miesiącach poprzedzających katastrofę, zachwycała się Mademoiselle nie mniej niż ja sama. Bardzo często wracała z zakupów z jakąś szmatką dla Mademoiselle, bo uznała, że w tym akurat stroju będzie jej do twarzy. I zawsze miała rację, bo przecież Mademoiselle we wszystkim wyglądała świetnie.

To, co wtedy tylko niejasno przeczuwałam, dziś wiem z doświadczenia: istnieje próg kobiecej doskonałości, za którym milknie zazdrość innych kobiet. Pojawia się raczej gotowość niesienia sztandaru przed idealnym egzemplarzem własnej płci: Patrzenie i podziwianie, mężczyźni – oto jak piękne potrafimy być! Zresztą, moja matka też była atrakcyjną kobietą. Ale żadna kobieta nie dorównywała atrakcyjnością Mademoiselle.

Zbierałam się właśnie na odwagę wyznania swojego problemu Mademoiselle, gdy nieoczekiwanie to ona pierwsza zaczęła mówić.

– Carlitos, wyobraź sobie, że zakochałaś się w pilocie linii Air France...

– Air France?

– Aerolineas Argentinas, jeśli wolisz. Pilot nie wie jednak o twoim uczuciu. Może nie jest nawet świadom twojego istnienia. Musisz więc znaleźć sposób na ponowne z nim spotkanie. Co zrobisz?

Zastanowiłam się.

– To proste. Najpierw kupiłabym sobie bilet. Na trasę, na której on lata. A już w powietrzu dałabym stewardessie sto dolarów, przekonując, że muszę wejść do kabiny pilota, bo... bo...

– A gdybyś się zakochała w architekcie?

– Udałabym, że jestem bogata i zamówiłabym u niego projekt domu.

Mademoiselle głęboko westchnęła.

– No a w strażaku? Gdybyś chciała jeszcze raz zobaczyć strażaka?

Odpowiedź na to była tak groteskowa, że wzdragałam się wypowiedzieć ją głośno:

– Dla strażaka coś bym podpaliła.

– Na przykład co? Dom?

– A cóż innego?

– *Voilà!*

Doszliśmy już do furtki pana Pilgrima.

– Nie wejdzie Mademoiselle ze mną? Tam można poczekać w środku.

– Wrócę po ciebie za godzinkę. Muszę spokojnie pomyśleć.

* * *

Nie wracałyśmy więcej do sprawy strażaka, ale dziwnym trafem parę wieczorów później – moi rodzice polecili akurat do Los Angeles i mieli wrócić nazajutrz – zapłonęły trzy pojemniki na śmieci stojące niespełna pięćdziesiąt metrów od naszej willi.

Spałam już, gdy Mademoiselle wtargnęła do mojego pokoju.

*Réveille-toi*¹, Charlotte!

– Co się dzieje?

– Pali się!

– Znowu?

Wyskoczyłam z łóżka.

– Ale nie w domu. O, tam...

¹ Réveille-toi (franc.) – Zbudź się.

Mademoiselle otworzyła okno i odgarnęła śnieg z parapetu, żebym mogła się wychylić. Po ciemku widziałam tylko słaby zarys bryły, z której bucha czerwony dym. Przerażona, odwróciłam się do Mademoiselle.

– Nie bój się, to tylko kubły na śmieci – upewniła mnie z uśmiechem

– Więc to Mademoiselle...

– Jasne, a któżby inny? Ale zadzwonić po straż pożarną musisz ty. Mój akcent jest zbyt charakterystyczny.

Zbiegłyśmy do salonu, gdzie Mademoiselle wybrała numer straży pożarnej, który oczywiście znała już na pamięć. Oddając mi słuchawkę, zasłoniła dłonią mikrofon i szepnęła:

– Tylko, broń Boże, nie podawaj swojego nazwiska. I nie mów, że chodzi o śmietniki, bo zlekceważą sprawę.

W słuchawce odezwał się męski głos.

– Waszyngtoński departament straży pożarnej. Serce waliło mi jak oszalałe.

– Oficer dyżurny?

– Słucham, o co chodzi?

– Dzwonię z ulicy Oliwkowej. Ulica Oliwkowa w Georgetown. Niedaleko skrzyżowania z ulicą N, gdzie dawniej mieszkał prezydent.

– Jaki prezydent?

– Prezydent Stanów Zjednoczonych.

– To ma być żart, tak? – spytał oficer dyżurny i zaśmiał się pobłaźliwie. Bóg raczy wiedzieć, ilu różnych wariatów wydzwania codziennie pod ten numer.

– Nie żaden żart, tylko pożar! – krzyknęłam i błyskawicznie odłożyłam słuchawkę.

– Fantastycznie! Spisałaś się na medal, *chérie!* – Francuskim zwyczajem ucałowała mnie w oba policzki.

Dopiero teraz zauważyłam, że ma na sobie jedwabny biały szlafroczek, który mój ojciec podarował matce pod choinkę. A pod szlafrocziem koszulkę nocną do kompletu, jedno i drugie marki Dior.

– Przecież to nocna bielizna mojej mamy.

– Ja ją tylko pożyczyłam. Muszę ładnie wyglądać na jego przyjazd. I koniecznie muszę sprawić wrażenie nagle wyrwanej ze snu.

Zmierziła sobie zaplecione w luźny węzeł włosy, podeszła do lustra i starannie obejrzała się z każdej strony.

– Jak się prezentuję?

Pierwszy raz widziałam, żeby martwiła się o swój wygląd.

– Dobrze – mruknęłam, bo nadal chciało mi się spać.

– A może lepiej włożyć niebieską podomkę twojej matki? – Mademoiselle, niezdecydowana, wciąż sterczała przed lustrem. – Albo tę flanelową w kratę? No, poradź mi coś!

- We flanelowej będzie Mademoiselle cieplej.
- Ciepłej! Też coś! *Ce sont les apparences qui comptent!*¹
- Dałam jej jeszcze chwilę pocierpieć, po czym powiedziałam:
- W białym jest okej.

¹ Ce sont... (franc.) – Liczy się tylko wygląd!

Gdy wozy strażackie skręciły w naszą ulicę, wypadłyśmy z domu, niby to zaalarmowane wyjąca syreną. Mademoiselle przypilnowała, żebym włożyła na piżamę ciepłą kurtkę z kapturem, sama jednak wybiegła tak, jak stała – któż bowiem dba o zdrowie, gdy u sąsiadów wybucha pożar? Skąd miała, biedaczka, wiedzieć, że to tylko pojemniki na śmieci? Zresztą teraz buzowały żywym ogniem. Zaciekawilo mnie, jak Mademoiselle osiągnęła taki efekt.

Sąsiedzi też powychodzili z domów. Niektórzy najwyraźniej nie umieli się zdecydować, co jest ciekawsze: buchający ogień czy moja guwernantka, która wyglądała, jakby się urwała z hollywoodzkiego filmu. Wozami strażackimi przyjechała dokładnie ta sama ekipa, co trzy tygodnie wcześniej, nawet urodziwy blondyn był na swoim miejscu. On pierwszy zeskoczył z wozu, by podłączyć wąż strażacki do hydrantu. „Gdyby tak jego upatrzyła sobie Mademoiselle!” – westchnęłam w duchu.

Po paru chwilach panicznej niepewności dostrzegłyśmy też Nicka Kowalskiego, który z fachową powagą dyrygował dość komiczną operacją gaszenia śmietników. Akcja trwała tym razem nieco dłużej niż z naszą choinką – gdy myślałam, że już koniec, języki ognia pokazały się na nowo.

- Jak Mademoiselle to zrobiła? – spytałam ją ukradkiem.
 - Wczoraj była u nas zbiórka starych ciuchów i wystawiało się pełne torby na ulicę.
 - No i co to ma wspólnie...
 - Wsadziłam do trzech toreb z ciuchami trzy opakowania podpałki do grilla, zapaliłam i wrzuciłam po jednej torbie do trzech pojemników, naturalnie zostawiając klapy otwarte.
 - Tlen – podsumowałam ze znanstwem.
 - No właśnie.
 - A jeśli wezmą próbki do analizy? Co z metkami?
 - *Tu me prends pour une débile?*¹ Chyba jasne, że to nie były ciuchy od nas z domu!
- Ponieważ spojrzałam na nią z podziwem, dodała:
- Dobre, co?

– Niezłe.

Był lodowaty ziąb, więc widzowie szybko porozchodzili się do domów. Paru usiłowało zagadywać Mademoiselle, ale dała im do zrozumienia, że nie jest w nastroju. Stała jak posąg pośrodku ulicy. Lekki wiatr podwiewał na niej biały, jedwabny szlafroczek. Wyglądała jak galion wspaniałej fregaty, uwięzionej w lodach Antarktydy.

Gdy Nick Kowalski wzniesieniem skrzyżowanych rąk oznajmił koniec operacji, cała załoga strażacka oczywiście natychmiast otoczyła Mademoiselle, przypatrując jej się z pełnym czci zachwytem. Mademoiselle tymczasem wzięła mnie za rękę, udając, że najwyższy czas, byśmy schroniły się w domu. Wreszcie, pod dłuższej chwili, zjawił się i Nick Kowalski.

– No proszę: starzy znajomi! – Zaśmiał się na mój widok. – Tym razem poradziliśmy sobie bez ciebie, widziałas?

– Czy to nie dziwne? – ubiegła moją odpowiedź Mademoiselle. – Dwa pożary na tej samej ulicy w odstępnie zaledwie trzech tygodni?

– Prawo serii – orzekł Kowalski.

– Prawo serii? – zacięła się Mademoiselle.

Sprawiła wrażenie absolutnie spokojnej, ale dłoń, którą trzymała mnie za rękę, drżała z emocji. Może też trochę z zimna. Gdyby Nick Kowalski w tej chwili odjechał, wszystko poszłoby na marne.

¹ Tu me... (franc.) – Bierzesz mnie za kretynkę?

– No tak, tego rodzaju incydenty zwykle zdarzają się... – Szukał jakiegoś uczonego określenia, ale bez skutku. – ...seriami.

– Musi mi pan to bliżej wyjaśnić – zażądała z wielkim przejęciem Mademoiselle. – Praca straży pożarnej wydaje mi się fascynująca!

Nick Kowalski popatrzył na nią z rozbawieniem.

– A ja bym raczej radził panience wracać do ciepłego łóżka. Bo złapie panienka zapalenie płuc. – Odwrócił się na pięcie. – Poruczniku?

Przystojny blondyn wystąpił naprzód.

– Tak jest, szefie?

– Proszę przynieść koc.

– Tak jest, szefie.

Mademoiselle podjęła desperacką próbę przedłużenia rozmowy.

– Postępowanie zostało umorzone.

– Jakie postępowanie?

– Przeciwno mnie.

– Tak? No proszę, wie pani więcej ode mnie. A co do postępowania, to chyba nie zabrnęło zbyt daleko?

– Właśnie chciałam to powiedzieć. Przypuszczam, że to zasługa pańskiego raportu.

– Który był ze wszech miar obiektywny.

– Uważa pan, że jestem niezdolna do wywołania pożaru? Ot tak, dla zabawy? Nick Kowalski przyjrzał jej się ze spokojem.

– Nie wątpię, że wznieciła pani niejedną.

Strażacy pękali ze śmiechu.

Wrócił przystojny blondyn.

– Koc, szefie.

– Okryjcie nim te dwie damy i odprowadźcie je do domu – polecił Kowalski, a zwracając się do Mademoiselle dodał: – Porucznik objaśni pani prawo serii.

– Dlaczego nie ja? – upomniał się ze śmiechem jeden z czarnoskórych strażaków.

– Najlepiej wszyscy! – zarechotał jego kolega.

Kowalski jednym oszczędnym gestem ukrócił wesołość swojej drużyny. A potem odwrócił się. Od Mademoiselle!

Więcej informacji na www.wnk.com.pl